

wanych. „Słyszałam nieraz—mówi Wacława—ubolewających nad tem, że minęła pora, w której dziewczę, siedząc u kominkowego ognia, przędła len na kołowrotku; otóż, zdaje mi się, że i teraz zajmują się one tą samą czynnością, tylko, że kominkowy ogień zastąpiło zwiercadło, a zamiast nici lnianych przędą one pasma marzeń i widzeń fantastycznych na wartkim kołowrotku własnej wyobraźni. I zaiste, cóż innego czynić miałam ja, gdy, jako jedyny grunt, na którym miało roztać się moje życie, wskazano mi woskowaną posadzkę salonu; jedyny świat dostępny zakreślono przede mną sztachetami otaczającymi ogród, za jedyną pracę dano krosienka z rozpiętą kanwą i kilka w ponsowy safian oprawnych romansów i podróży francuzkich.“

Te same panny, zgromadzone w swoim pokoju, zdradzają głuchy i bezsilny bunt przeciw całemu otoczeniu swemu; nie czując na sobie wrogu starszych, wypowiadają otwarcie przed sobą, co czują, a czują nierównie więcej, niżby się z pozoru zdawało. Jednej z nich, zastanawiającej się nad otoczeniem, w którym los żyć jej przeznaczył, kładzie autorka w usta te na zakończenie rozmowy słowa: „Może i są gdzieś inni ludzie, ale ja o nich nic nie wiem.“ Są to słowa rozpaczki dusz uwieczonych, rwących się do słońca i przeczuwających dobroczynny wpływ tego, słowa wyrzutu gorzkiego dla tych, co nie dali ujrzeć słońca tym biednym istotom i zmarowali w nich najpiękniejsze dary Boże. W tych słowach tkwi właściwie cały tragizm powieści, tem większe mający znaczenie, że nie jest jakimś pojedynczym lub przypadkowym objawem życia, że nie rozegrywa się wśród jednostek tylko, ale się rozciąga na całe społeczeństwo, że się codziennie jeszcze powtarza, będąc koniecznym skutkiem ogólnego, uświęconego latami systemu wychowania.

J. Nitowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGAWĘDKA.

Rozpoczął się więc karnawał... Cichy jeszcze i dosyć spokojny, brak mu dotąd należytego rozpędu, lecz już z zapowiedzianych tu, to tam bałów, nie można wątpić o wesołości zapustnej, która jest naturalną, potrzebą młodości.

Któżby więc wesołość potępiał?

Bawcie się, szalejcie młodzi, to wasza chwila, wasz czas!...

Biegną więc karneciki z rąk do rąk, koralowe usta pięknych gospodyń i uproszonych pań i panien uśmiechają się, prosząc rymotwórców i nierymotwórców o wierszyk krótki lub aforyzm jakiś, a oczywiście, że mistrze od pióra nie odmawiają tym prośbom, sypią się więc żarty i dowcipy, czasem i poważniejsza nuta zadzwoni i jakiś morał wypłynie.

Bał na *Schronisko*, mający się odbyć w sali Ratuszowej dnia 30 Stycznia zapowiada się świetnie, na karneciki sypną się wiersze i aforyzmy, z których ma powstać jednodniówka, złożona z wyboru tego rodzaju literackich podarunków.

Pomysł bardzo oryginalny, lecz dobry.—Bo któż zaręczy, czy i pomiędzy temi drobniakami nie znajdzie się prawdziwa perełka, która by sobie spoczywała spokojnie w muszli ducha ludzkiego, lecz oto znalazł się nurek piękny w postaci niewieściej i na jaw ją wydobyl.

Z rozmaitych znaków wnosić możemy, że zapusty przejdą wesoło, bez szalu jednak—tylko maskarady usuną się w cień, jako zabytek innych czasów, innych humorów i usposobień ludzkich.

Ze wzrostem Warszawy, której ludność przeszła już liczbę 600,000, w nadmierny sposób też

wzrosły wypadki, mówiące o zdziwieniu obyczajów klas niższych. Nie masz dnia, ażeby gdzieś zbrodnia popełniona nie była, i to powodem jej nie chęć grabieży nawet, lecz wprost sprzeczka uliczna, choćby pomiędzy przyjaciółmi wynikła, i zaraz dobywają się noże i dramat gotowy. Za częste, podobnego rodzaju, wypadki, ich wzrost nadmierny w stosunku do ludności miasta, zwróciły uwagę dziennikarstwa naszego i wezwały ludzi dobrej woli do rozejścia się w przyczynach zła i wynalezienia środków, któreby zapobiegły ekscesom podobnym.

Przed dniami kilkunastu, przy bardzo licznych udziale księży, prawników, literatów i przemysłowców, odbyła się narada w tym przedmiocie, mająca na celu zbadanie przyczyn złego i wynalezienie sposobu powstrzymania go nie w zarodku już samym lecz niemal w pełnym rozwoju.

Na pytanie:

— Zkąd to zdziwienie pochodzi?

Prezes Towarzystwa dobroczynności ksiądz Michał Radziwiłł odpowiedział równie pytaniem:

— Czem zajmują się ubogie dzieci pomiędzy 8 a 14 rokiem swojego życia?... Nie przyjmując ich ochrona, nie posługując się nimi przemysł, więc—co robią, gdzie i w jaki sposób czas przepędzają i czego w ten sposób nauczyć się mogą?

Na pytanie to rzucone całemu społeczeństwu, odpowiada Prus bez długiego namysłu w jednej z ostatnich kronik swoich, a odpowiada jak zawsze, krótko, zwięźle i dobrze:

„Próżnują od rana do nocy, biegają bez celu po ulicach, niejednokrotnie zaznajamiają się ze skończonymi hultajami, a prawie zawsze cierpią głód, brudy i wszelkiego rodzaju niedostatki.

Byłby to prawie cud, gdyby dziecko, przez lat pięć wstając w takich warunkach, nie odwykło od wszelkiej pracy, nie nabrało złych i gorszych nałogów i nie nasłuchiwało się najpodlejszych rozmów, jakie obijają się kiedykolwiek o ludzkie uszy.

Jest to, krótko mówiąc—hodowla wszelkiego gatunku przestępców, poczynając od złodziei kieszonek, a skończywszy na „nożownikach.“

Na drugie pytanie: jaka może być liczba tych nieszczęśliwych potępieńców? słyszymy odpowiedź taką:

„Dzieci, między 8 a 14 rokiem życia jest w społeczeństwach przeszło 10%. W Warszawie zatem jest ich około 55-ciu tysięcy wszelkich wyznań.

Przypuściwszy (w co trudno uwierzyć), że połowa ich ma jaką taką opiekę, wypadnie, że około 27 tysięcy chłopców i dziewcząt żyje nietylko bez nauki, ale i bez najmniejszego dozoru.

Zdaje się, że o takiej cyfrze będzie musiało pomyśleć społeczeństwo, jeżeli na przyszłość zechce poprawić swój stan moralny.

A teraz jeszcze jedno pytanie: czy warto opiekować się podobnymi dziećmi—i czy mogą z nich wyrosnąć dobrzy ludzie?

No to odpowiadają doświadczenia robione nad małoletnimi przestępcami w Paryżu. Dopóki dzieci te rosły w towarzystwie dojrzałych złoczyńców, ze 100 uwolnionych z więzień małoletnich—80-ciu poraz drugi dopuszczało się zbrodni.

Lecz gdy miłosierdzie publiczne zajęło się małoletnimi przestępcami, gdy zaczęto ich oświecać i kształcić ich charakter—cyfra recydywistów spadła do 6%.

Tym sposobem litościwi i rozumni paryżanie z każdej setki dzieci już zepsutych—poprawiają aż 74. Nikt więc nie będzie wątpił, że opieka nad dziećmi jeszcze niezdemoralizowanymi,—co najmniej równie dobrze przyniesie rezultaty.“

Sądźmy, że odpowiedź na te niezmiernie wagi pytania już padła z ust Prusa, teraz tylko potrzeba z tą ważną, nie zwlekać sprawą, nie zasypiać gruszek w popiele, a brać się z całą energią do wielkiego dzieła poprawy.

Ba!—a środki?

Rzeczywiście — pytanie to jest wielkiej wagi przy obecnym położeniu materialnem społeczeństwa naszego.

Lecz nie odrazu Kraków zbudowany. Położmy zrazu jedną cegielkę, później drugą, trzecią

a powoli, powoli stanie gmach wielkiego dzieła filantropii.

Tymczasem zło się rozszerza i przybiera coraz to nowe kształty. Słyszeliśmy dotąd o popełnionem tu i tam morderstwie, o szynkownianej walce na noże; złodzieje się wkradali do domów prywatnych i do sklepów o zawiasach porządnych, wyłamywano drzwi, swidrowano ściany, z piwnic robiono otwory do znajdujących się nad nimi magazynów i składów, ale oto od niedawna nowy, nieznany dotąd zaczął się rozwijać proceder złodziejski, którym jest: werbowanie dzieci do źle strzeżonych sieni kamienic i obdzieranie ich z odzieży, jakkolwiek i na ulicach podobne już wypadki zdarzały się.

Jeżeli pomysłowość łupieżców w tym samym stopniu i nadal pójdzie, to kto wie, czy wyszedłszy na ulicę w futrze, nie wrócimy do domu bez niego, bo że się czasem bez portmonetki wraca, to wiemy od dawna.

W przeszłej pogawędce, wspomniałem o roku bieżącym, jako roku konkursów literackich i literackich jubileuszów. Do pierwszych przybysza jeszcze jeden, do drugich, aż dwa.

W roku 97 kończy się czterdziestopięciolatec pracy na polu niwy poetyckiej Deotymy i przeszło pięćdziesięciolatec różnorodnej pracy Adama Pługa.

Wieszczka nasza nie oderwała dłoni swej od lutni; lutnia Jej o strunach niezerwanych brzmi zawsze potężnie, potężniej nawet, niż dawniej; słyszymy coraz wyraźniejsze tony, pełne głębi olbrzymiej, czystości niezmiernej, poruszające nasze dusze i serca.

Fenomenalnym jest Deotymy talent, fenomenalną jest ta moc jej ducha nieznająca chwili jednej znużenia. Za przesadę nie weźmiecie słów moich, że jakiś królewski otacza ją majestat i mimowoli każe czołu ugiąć się przed nim. Zdumiewa mnie twórczość jej ducha, ta jego potęga nie znużona, ta młodość pieśni, która coraz nowe zapala gwiazdy natchnień.

Parę pokoleń otacza ją czciami i dzisiaj ze czciami się zbliżymy do niepodważonego tronu jej poezji.

Wspomnieliśmy, że także w roku bieżącym upływa lat pięćdziesiąt, od wyjścia na świat pierwszej literackiej pracy Adama Pługa.

W jasnowidzeniu dziwnem nazwał siebie Pietkiewicz *Plugiem*. Życie Jego nie słało się po różach, pół wieku orki na twardej glebie rodzinnej, orki nieznającej snu i wytechnienia... stępićby mogło niejednego lemiesz. I tępią się lemieże, braknie nieraz sił oraczom, owiewa ich znużenie, senność, zniechęcenie nierzadko.

Czy choć jeden z tych dusznych rozstrojów spotkał Adama Pługa, w ciągu długiego jego życia?...

Nie!...

Umysł ma świeży, świeże serce i miłość świeżą ku wszystkiemu co tylko jest godne kochania. Nie ciałem jest silny, lecz tą iskrą bożą, która w nim płonie nie zdmuchnięta żadnymi podmuchami wiatrów. Gdybym nie wierzył w tę siłę duchową, która uzacnia nasze ciało, wierzyłbym ją patrząc na Pługa. Bezdużne pokolenie, łamiące się pod lada losu przeciwnością, niech spojrzy na tego siedmdziesięcio kilkoletniego starca, a uczuje wstyd pałacy policki, niejednego młodzieńca dni obecnych nie ma tej wiary, zapалу i siły moralnych, co Adam Pług.

Za złe mi nie bierz słów tych, Pługu! I jam miał czarne godziny w życiu i chwile w wątpliwości, lecz, szczerze Ci mówię—przypominałem cię i wracała upadająca energia. Bezwydym będąc lekarzem moim, nie wzbrosisz pacjentowi, w tych kilku mało mówiących wyrazach złożyć ci należne honorarium.

Do szeregu przypadających konkursów, przybysza znów jeden imienia Ignacego Paderewskiego, znakomitego pianisty i kompozytora, który ogłosił naraz aż dwa konkursy: dramatyczny i muzyczny, chcąc umożliwić młodym talentom twórczym wykazanie zdolności kompozycyjnych.

W tym celu ofiarował na każdy z tych konkursów po 2,000 rs., powołując jednocześnie kilka wybitnych osób z naszego społeczeństwa, ażeby zajęły się wprowadzeniem w czyn jego projektu.

Najwyższa nagroda wynosi rs. 1,000; druga 500, trzecia 300, a czwarta 200.

Do konkursu dramatycznego mają prawo sta- wać pisarze mający nie więcej jak lat 35. Kon- kurs ten obejmuje: tragedję, dramat lub kome- dyę społeczną o treści umoralniającej.

Konkurs muzyczny ma na myśli symfonię, suitę i muzykę kameralną.

Niemile wrażenie na ogół mieszkańców War- szawy, a szczególnie na dziatwę naszą, wywarł rozkaz policyi, zabraniający obnoszenia po mie- scie tak zwanych „Szopek“, rozkaz, polecający aby właściciele „Szopek“ nie wpuszczano do do- mów i mieszkań i nie pozwalano im nadal zajmo- wać się tym procederem.—Powodem tego zaka- zu, kładącego tamę uświęconemu oddawien da- wna tradycją zwyczajowi, ma być, że zajęcie jest wyzyskiem, odmienną formą żebractwa, po- łączoną z niebezpieczeństwem dla całości mie- nia mieszkańców miasta. Ten powód wydał się wcale niezrozumiałym „Kuryerowi Codziennemu“, który też słusznie powiada, że: „od szeregu dziesiątków lat, jak szopki bywają obnoszone, po mieście, nigdy nie było słychać, aby pora „szop- kowa“ miało obfitować w znacznie zwiększoną ilość kradzieży, dokonywanych przez ludzi obno- szących „Szopki.“ Że bywały sporadyczne wy- padki przywłaszczania sobie cudzej własności, te- mu nie przeczymy, lecz bynajmniej nie stanowi- ło to cechy specyalnej „szopkarzy.“ „Policya zaś posiadła w swych rękach wszelką możność sprawdzenia czy podający się o pozwolenie no- szenia szopek jest człowiekiem zasługującym na zaufanie.“

Tak więc względ niebezpieczeństwa dla cało- ści mienia mieszkańców—upada.

Przeciwnie, autor tego artykułu, w zakazie powyższym widzi złe nawet:

„Szopkarzy“ rekrutuje się z pośród ludzi, któ- rym w zimie trudno znaleźć zarobek, jak np. murarzy. Czyż zatem jest słuszność odbierać im możność drobnego zarobku w porze dla bie- daków najcięższej, bo zimowej?

Należałoby zresztą pomyśleć o tem wcześniej. Niejeden z szopkarzy ostatni nieraz grosz wy- dał na kupienie szopki i lalek, i nagle dowiaduje się o niespodziewanym wcale zakazie. Zresztą są pewne, niewinne zwyczaje, uświęcone trady- cją, których pozbycie się, przykrość sprawić musi.

Jakże to na święta Bożego Narodzenia nie po- kazać dzieciom szopki? Do króla Heroda, na- przykład, tak się to małenstwo przyzwyczaiło, że wiadomość:

— Nie będziecie już mieli szopki — rozsze- rzyła im oczęta i niemile wcale dotknęła. Mniej- sza zresztą o dziatwę, lecz tu rzecz idzie o ode- branie biednym zarobku i—tradycję.

„Kuryer Codzienny“ co krok to potrąca o ja- kąś myśl pożyteczną, a będąc czytany przez szeroki ogół kupców, rzemieślników i przemysłow- ców, zwróceniem uwagi na braki pewne rzetelną im przysługę przynosi.

Oto w jednym z numerów czytamy doskonały artykuł „Topora“ o „Niewyzyskanych polach.“

„Niewyzyskanymi polami, nazywa autor *Com- mis-wojażerstwo*, tak rozwinięte u sąsiadów na- szych z zachodu, a u nas, jeżeli nie nieurodzone jeszcze, to jak niemowlę spoczywające w koleb- ce. Niezajęte miejsca zająć ktoś musi—niema nas, znaleźli się Niemcy. Szastają się więc *Com- mis-wojażerowie*, owi dobrze nawet płatni wysłań- cy rozmaitych firm kupieckich i niezłe wcale ro- bia interesu, a nasi handlowcy siedzą na miejscu, narzekają na złe czasy i nie próbują wcale wpaść na tropy innego sposobu, niż zwykłych reklam w dziennikach, zarekomendowania swojego to- waru.

„Z założonemi rękami czekać cierpliwie na klienta mogą tylko przedsiębiorcy, albo pewni siebie i zasobni, albo ospali. Reklama robi swo- je, to fakt niezbity, a właśnie jednym z najlep- szych środków tej reklamy jest prezentowanie towaru wszędzie i szukanie dróg coraz nowszych.“

I my się ruszać musimy, ale potrzeba, by nam gorącego sadła za skórę nalano.

Były, złote naprzykład czasy, kiedy wyroby warszawskie cieszyły się niemałemi względami

na rynkach Cesarstwa.. Obuwie warszawskie przedewszystkiem było cenione bardzo i poszu- kiwane. Ale oto, zaczęła na te rynki napływać tandeta, renoma dobrych butów warszawskich coraz bardziej traciła na wartości, odsyłano złe towary, a nie mogąc się doczekać lepszych, każ- dy kamasz czy trzewik pochodzący z Warsza- wy—był uważany na równi z najpodlejszym gratem.

— Co to partactwo znaczy?—pytałem jednego szewca.

— Nie nasza to wina, reputacyę nam psują nalewkowscy mieszkańcy.

— Brońcie się zatem.

— Jak?

Ani pytany ani pytający nie wiedzieli jak złe- mu zaradzić...

Lecz upadający coraz bardziej handel wywo- zowy warszawskiego obuwia, zła marka w Cesar- stwie ogółu firm najlepszych i najsumienniejszych nawet, kazały panom szewcom zebrać się w kupę i zaradzić raz wreszcie tej rozszerzającej się, a złej opinii o szewctwie warszawskim.

Po naradach, postanowiono prosić urząd ce- chowy o stemplowanie wyrobów wysyłanych na rynek Cesarstwa przez majstrów cechowych.

Późno się wprowadzić wzięto do dzieła, lecz le- piej późno niż nigdy. Zła reputacya może na- prawioną zostanie i może większy ruch dobrego wywozowego towaru nastąpi.

Od dawna nieukazujące się „Ziarno“ w roku bieżącym pojawiło się w nowym zupełnie stroju. Prospekt oznajmia, że zadaniem „Ziarna“ będzie zestawianie różnych opinii i zdań, wygłoszonych w pismach w rozmaitych kwestyach i sprawach. Będą więc wyjątki z ocen książek różnych, re- cenzyi teatralnych, które mają służyć czytelnikowi do wyrobienia opinii a zestawiając zdania, zawarte w różnych krytycznych ocenach, wyrobi sobie czytelnik także i zdanie o samych kryty- tach.

Jesteśmy pewni, że z tej wieży Babel, za- dnego czytelnik nie wyrobi zdania; mimo to, nie uważamy wcale za złe tego rodzaju podawa- nie do wiadomości ogółu różnych sprawozdań o jednym i tym samym przedmiocie. Zobaczy- my wtedy, przy zestawieniu naraz wszystkich krytyk o utworze np. B. jak to się biegnie do lasa i do sasa, jakie znakomite wskazówki może mieć piszący od krytyków. Jeżeli nie nie dowiedzą się czytelnicy, jeżeli nie zbudują się literaci, to choć się panowie krytycy zawstydzą, widząc w dziwny zaiste sposób, nieustaloną miarę swych sądów.

Miałem już kończyć pogawędkę moją z wami, szanowni czytelnicy, ale mimowoli wzrok mój padł na ostatni numer „Echa Muzycznego“ wła- ściwie na odpowiedź p. A. Rajchmana daną: *dwom znakom zapytania*.

Z zasady czuję wstręt do kłótni, takbym chciał żyć w dobrej z p. Rajchmanem komitywie! To też i was nie chcąc nudzić osobistemi sprawa- mi—dam tu raz jeszcze odpowiedź mojemu ad- wedsarzowi i położę milczenie na usta.

Że p. Rajchman pewnej ilości swych czytelnik- ków powiedział, iż autor *Dla czego?* napisał lite- rackie głupstwo, a autor *Dla czego?* pewnej także ilości swych czytelników powiedział, że to wła- śnie szanowny recenzent uczynił—zład gniew.

Dziwnie!

Dla czego niewolno p. G. co p. R. wolno?— Lecz oto w opowiedzi, „dwom znakom zapyta- nia“ p. R. rzeczywiście zrobił to, czego nie wolno mu było robić, bo posłuchajcie odpowiedzi:

„Ma pan słuszność zupełną. W obronie złej i naiwnej postawionej sprawy, dowodzić należy *wiecznego* panowania kastowości niepodlegającej ani głoszonemu w poezjach p. Głińskiego po- chodowi idei demokratycznych, ani przykładowi nie tylko już Francji, ale nawet i—Galicyi. Ar- gumentem równie przekonującym jest oświe- cenie szanownych czytelniczek „Bluszczu“, że p. Głiński z „krwi i tradycyi należy do kasty.“ „Wszyscy zaś inni, którzy w najłagodniejszej na- wet formie przedstawiają wady nieudatnego utworu scenicznego *Dla czego?* „nie rozumieją się“ na tej naiwnej przesadzie; za śmiałość zaś spoty- ka ich zasłużona kara: odsłonięcie adresu ich mie-

szkania prywatnego. Humor feljetonu wart za- let komedyi!“

Ale co wart deshumor pana Rajchmana?

Ha! jeżeli huczne brawa, wywoływanie arty- stów i autora, zdania *rzeczywistych* krytyków, o któ- rych nie powiem, że się „nie rozumieją“ jak: Bogusławski, Gadomski i inni, przyznających du- żo zalet komedyi, w ogóle, niespodziewane przez autora nawet powodzenie, podziękowania od osób mu nieznanomych, jakie otrzymał, są dowodem nieudatności komedyi to—zgadzam się z panem Rajchmanem. O stosunku zaś rozwoju zasad demokratycznych do kwestyi już wyczerpanej, odbierającej wszelką wartość utworowi—mówić nie będę, bo *rozwój* pewnych zasad, to nie jest jeszcze ich *wykwit*. Przytoczone zaś słowa p. Rajchmana, że nie przekonywa go oświecenie czytelniczek „Bluszczu“, że autor *należy* do ka- sty“ są postawione wykrętnie. Powiedziano: autor sam *wyszedł* z łona tej kasty nie protegują- ciej tak bardzo Maćków i Bartków, no i zna *świat*, do którego z krwi i tradycyi należy?

To nieco brzmi inaczej!... *Należy* do świata, a *wyszedł* z kasty. Sumiennosc w cytatach prze- dewszystkiem, panie Rajchman!

Dalej:

Spotyka pana *kara*: (konia z rzędem kto to zro- zumie) odsłonięcie... adresu prywatnego pańskie- go mieszkania?

Co to jest? Pan przecie *na ulicy* nie mieszka, tylko w jakimś *domu* i w jakimś *lokalu*. Ja zaś wspominałem o Nowo-senatorskiej ulicy, — nie wspominając wcale o pańskim mieszkaniu pry- watnem.

Nie wiem tedy, czyja to jest *zła* sprawa i kto ją *naicniej* broni. Zapewne ja, który słów pańskich nie przekręcam i czytelnikom swoim nie mówię tego, czegoś pan nie powiedział.

??

W kwestyi równouprawnienia kobiet

wobec nauki, pracy i dostojności ludzkiej.

(List otwarty do kobiet niemieckich).

ELIZY ORZESZKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Na nie wysokim też stopniu moralności stojące kobiety, które w wyborze nauki lub pracy, po- wodują się nie względami na wrodzone zdolno- ści swoje, nie pragnieniem stania się pożytecz- nemi światu, lecz ambicyą dosięgania najwyż- szych społecznych szczytów, albo największych fachowych korzyści. Takie pychy i pretensye nie poparte zdolnościami odpowiedniami, wpro- wadzają w pracę kobietą pierwiastek niedołę- twa i wytwarzają wśród kobiecego rodu inny znowu gatunek istot, które pozorami nauki i pra- cy maskują swoją rzeczywistą nieużyteczność a nawet szkodliwość, istot, którym z powodu naśladowania mądrości w rzeczy samej nie po- siadanej, starożytni dawali nazwę papug Mi- nerwy.

Istnieją w znacznej liczbie i takie, których znaczne nawet zdolności umysłowe sparaliżowa- nemi są w rozwoju i zastosowaniu przez chwa- sty, gęsto charaktery ich porastające, które do- bywszy umiejętność fachową, wyzyskać jej nie umieją przez brak woli, wytrwania, systema- tyczności, oporności rozmaitym pokusom i po- nętom świata.

Takich i innych zboczeń i niedostatków mo- ralnych może być w kraju jednym liczbą mniej- sza, w innym większa, lecz każdy posiada ich typy, mniej lub więcej ostro rysujące się tle ży- cia powszechnego. Wprawdzie, obok nich ist- nieją wszędzie i takie, które z różną miarą do-

kładności, zastosowują się do kodeksu moralnego, od wieków dla kobiet spisanego i cieszą się uznaniem powszechnem, niezawodnie do pewnego stopnia im należnem. Czy przecież, te nawet najlepsze z pomiędzy nas są lepszmi od swoich poprzedniczek, tak jak stały się od nich oświecenszemi? Czy w sercach i czynach oświeconych prawnuczek, etyka staje się szerszą, głębszą stalej i rozumniej stosowaną, niż była u ciemnych prababek? Bardzo wątpliwie. Obejrmy się po świecie za dążeniami, za próbami choćby wytworzenia w społeczeństwie niewieściem typu moralnego, któryby oryginalnie a wspaniale przez kobiety już oświecone był zakreślonym. Nie spostrzegamy takich dążeń, prób, pierwszych choćby zarysów nigdzie ani w opiniach publicznych, ważących obowiązki, zasługi i winy; ani w stowarzyszeniach powstałych dla popierania różnych spraw kobiecych; ani w drukowanych organach kobiecej myśli i pracy; ani w dotychczasowych kobiecych czynach i wpływach. Wszędzie popęd do nauki i pracy zarobkowej, co jest uznania godnem; nigdzie porywu ku wyżynom moralnym, co jest zasmucającem. Nowe i zwiększone siły umysłowe i że się tak wyrażę, muskularne; w najlepszych razach te same zawsze, zbladłym atramentem rutyny pisane prawidła moralne. Samowiedza i samoistność w dziedzinie umysłowej i ekonomicznej; szybki w oknach—nawet pałacowych—w dziedzinie moralnej. Tłucze też je niemilosierne wichry zmateryalizowanego wieku; tak, że ów nawet stary budynek, wznoszony w czasach stalego oddalenia kobiet od ideału prawdy, nie rozszerzany i nie wzmacniany, grozi ruiną. Po trochu i nieznacznie, w miarę nowych stosunków i pojęć, tracimy stare cnoty prababek, a nie wiadać jeszcze, abyśmy próbowały stworzyć i zdobyć nową, do nowych stosunków i pojęć zastosowaną cnotę prawnuczek. Gmach nasz wznosi się krzywo i ta jego połowa, która chyli się ku ziemi, do upadku pociągnąć może tę, która strzeżona ku niebu. Bo żadna uczoność i żadne zarobki fachowe nie sprawia, aby człowiek zły, samolubny, przynosił korzyść rozwojowi społeczeństwa i szczęściu świata. Nie przynosząc korzyści rozwojowi społeczeństwa i szczęściu świata, kobiety oświecone i uczone mniej będą warte dla społeczeństwa i świata, mniej zasłużą na szacunek i wdzięczność potomnych, niż te, które niegdyś, z umysłami ograniczonymi, wolą bierną lecz z czystymi sercami i rękami w domowym *atrium* strzegły świętego ognia i lny na odzież domowników przędły.

Mniej więcej jasno określiwszy stanowisko swoje wobec nauki i fachowej pracy, kobiety nie napisały jeszcze dla siebie roli, którą jako czynnik moralny na świecie odegrać mają. Powszechnie utartem, ale bardzo niedokładnem jest zdanie, że moralność zawiera się w kilku prawidłach oddawna skodyfikowanych, wypróbowanych i do których nie już dodać nie podobna. To niedokładne, bo gdyby nawet niepodobna było pomnożyć liczby praw, każde z nich można pogłębiać, rozszerzać, stosować w sposoby coraz liczniejsze, subtelniejsze i skuteczniejsze. Ileż na przykład jest sposobów elementarnych lub subtelnych, płytkich, lub głębokich pojmowania i stosowania praw tak na pozór prostych, jak: nie zabijaj i nie pożądaj cudzego! a cóż mówić o tak szerokiemi, i nieobieciernie złożonych, jak: Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło, lub oddaj Cesarzowi, co cesarskiego, a Bogu, co boskiego! Każdy pojmuje i stosuje te prawa w sposób właściwy sobie, odpowiedni do swoich umysłowych i moralnych zdolności. Kobiety oświecone mogą wnieść w społeczeństwa właściwy sobie sposób pojmowania i stosowania praw moralnych, po części natura, po części historia uczyniła je w stopniu pewnym umysłowo i moralnie różniami od mężczyzn. Inna w stopniu pewnym organizacja fizyczna, inna miara wrażliwości, inne przyzwyczajenie uczuć i wyobraźni, inne reguły obyczajowości, sprowadzają pomiędzy dwoma płciami różnice, które kobiety na rzecz wzrostu ideałów moralnych wyzyskać mogą i powinny, jeżeli pragną wykonać jedno z najwspanialszych zadań, spełnić jeden z najtrudniejszych obowiązków,

jakie dla kogokolwiek zdobyły wdzięczność i cześć pokoleń. Jakiem jest to zadanie? jakim jest ten obowiązek?

(Dalszy ciąg nastąpi).

NAŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg).

III.

Minał czas jakiś; goście się rozjechali, został tylko pan Roman, który niby to dla doglądania gospodarstwa w Wasilcach przyjechał, ale siedział prawie ciągle w Żarnkach.

Kamilla bawiła się wybornie w towarzystwie kuzyna; była tak, ożywiona, trzpiotowata, że można ją było śmiało o kokieteryę posądzić...

Janina patrzyła na to ze smutkiem.

Kochając brata nad życie, wyidealizowała sobie jego wybrana i jego dla niej uczucia, a teraz ten ideał Kazimierza tak nisko spadał w jej oczach! Kamilla kokietka! to była rzecz nad którą Janina płakać by rada... Pan Roman pomimo to tak się obojętnie zachowywał, że Janina dziwiła się coraz więcej po co właściwie tu siedzi i poco naraża siebie i kuzynkę na odgrywanie komedii, która do niczego nie doprowadzi.

Zresztą, nie zachwycała się wcale kuzynkiem Kamilli, pan Roman taki był zimny, sztywny, drwił sobie nawet czasami z kuzynki, gdy w egzaltację wpadała, a z Janiną poprostu był niegrzeczny.

Co prawda, stanowisko młodej sieroty w domu hrabiny Żarnowieckiej było prawie podstępne, ale przecie nie zasługiwała ona na lekceważenie jakiegoś jawne dawano jej dowody.

Od czasu owej krótkiej na wieczorku rozmowy gdy ją raczył prosić do tańca, Roman nie przemawiał do Janiny ani słowa, uznając pewnie z „taką istotą“ niema o czem mówić. Ale Janina wolała że tak było; ona także nie miała by o czem mówić z tym wielkim panem, dla którego wszystko było tylko żartem, który każdą rzecz wyszydził, i nie umiał nic brać na serio.

Zadawała sobie tylko nieraz pytanie, co w nim może upatrywać Kamilla, która prawie się kompromitowała ze swoją uprzejmością dla kuzyna?

W owej rozmowie wtedy w ogrodzie, mówił jej przecie jasno, że ma serce złamane, odjął w bardzo delikatny, ale stanowczy sposób wszelką nadzieję jaką by kiedykolwiek Kamilla mieć mogła, że znajomością świata uprzedzając możliwe wypadki... a ona tej nadziei nie traciła!

Czy młoda, ufna w swoje siły próbowała może zwyciężyć, „otworzyć zamknięte drzwi serca Romana.“ czy nęciły ją bogactwa, i pałac w Wasilcach, czekający swej pani?

Naturalnie że między młodemi pannami nigdy mowy o tem wszystkiem nie było. Janina starała się unikać drażliwej kwestyi, a Kamilla nadto była zajęta by czas znaleźć na rozmowę z dawną przyjaciółką, która teraz kompletnie na drugi plan odsunięta została i także prawie lekceważoną przez nią była. Być może iż to był wpływ Romana...

I tak miesiąc dobiegał od przyjazdu Romana. Któregoś dnia Janina siedziała z robotą na werendzie, a Kamilla z kuzynem w drugim rogu rozmawiała; wieczór się robił, i hrabina zawołała córkę do pokoju, bo dziś chłodno było trochę na dworze.

Roman idąc za kuzynką zatrzymał się w drodze przy Janinie, i czego dotąd nie bywało przemówił:

— Radzę pani także udać się do pokoju, bo chłodno, i ciemno. Oczy pani popsuje...

Zadziwiona podniosła głowę, ale już odszedł. — *Jeannete!* — ozwał się z pokoju głos Kamilli, i pospieszyła zaraz, jeszcze trochę zmieszana nagłą troskliwością tego, który zdawało się nigdy nie zwracał na nią uwagi.

Kamilla tymczasem stanowczo zażądała by Janina śpiewała. Żądanie to było niezwykle, bo Janina nie uczyła się śpiewu i nigdy nie wymagano by się przed kim obcym popisowała, a tembardziej nie chciała tego uczynić przed Romanem, czując, że jej śpiew będzie narażony na tyśiące nieprzyjemnych komentarzy. Wymawiała się więc biedna jak mogła... ale Kamilla lubiła, i umiała postawić na swoim.

— Cóż to! — odmawiasz mi? — przyznam ci się Jeannete że się tego po tobie nie spodziewałam! Ja chcę i potrzebuję muzyki; to śmiesznie wymawiać się, tak jakbyś była Bóg wie jaką sławną śpiewaczką, której błagać potrzeba, by raczyła się dać słyszeć.

Roman widać nie podzielał fantazyi kuzynki, a może nawet śpiewu nie lubił, bo usunął się, aż na werendę, i pozostał tam, aż Janina śpiewać nie przestała.

Ofiara kaprysu usiadłszy do fortepianu, długo musiała panować nad sobą, by głos z piersi wydobyć, głos jej niewykształcony, trochę drżący z początku był tak czysty, dźwięczny i rzeźwiny, że każdy bezstronny sędzia musiał się poddać jego urokowi. Śpiewając ośmieliła się, zapomniała że ją do tego zmuszono, i dała folę swoim uczuciom, przepełniającym serce sieroty, które się w rzeźwej melodii odzwierciedliły.

Kończyła przegrywkę, gdy weszła hrabina, która przed chwilą wyszła była z pokoju.

— Proszę Janino zająć się herbatą, rzekła krótko i niechętnie.

Po co był te śpiew? — zapytała córki po wyjściu Janiny, oblanej rumieńcem.

— Ja chciałam... — odrzekła niedbale, uznając to tłumaczenie za dostateczne. Jak ci się jej głos podoba? — zapytała Romana, który także wrócił z werendy.

— Mnie? — odparł zapytany bardzo obojętnie. Nie uważałem... ale zdaje mi się, że to głos nadto miękki... na nerwy działa w nieprzyjemny sposób.

— Śpiew jest żaden — odezwała się hrabina zawsze z niechęcią. Nieuczyła się nigdy, coś od Kamilli pochwyliła...

— Ja lubię głos Janiny, oświadczyła stanowczo Kamilla, na mnie on przeciwnie, bardzo miłe robi wrażenie. Lubie marzyć gdy ona śpiewa...

Roman ze zwykłą obojętnością nie podniósł tego zdania.

— Kto jest ta panna Janina? — zapytał tylko, tonem nieciekawym, ot tak, byle coś powiedzieć.

— Panna Janina!... — powtórzyła pogardliwie hrabina do córka mojej bratowej... żadna nasza krewna, z łaski wzięta do mego domu.

— Czy tak?... — brzmiała przeciągła odpowiedź Romana, jak gdyby myślał o czem innem.

— Herbata gotowa! — zabrzmiał od progu miły, a tak dopiero co skrytykowany głos Janiny.

Przeszli do drugiego pokoju, gdzie przy stole krzątała się zawsze czynna Janina. Roman był dziś w lepszym niż zwykle usposobieniu, śmiał się nawet, i to uczyniło że Janina kilka razy zadziwiona spojrzała na niego. Pierwszy to raz baczniejszą uwagę zwróciła na „niebezpiecznego człowieka“, ale niebezpieczeństwa tego dopatrzyć nie umiała. Pięknym nie był; zdobyły go tylko duże rozumne oczy, co już przy pierwszym poznaniu uderzyło Janinę. Czego zaprzeczyć nie mogła, to że cała postać Romana bardzo była dystygnowana, zaczawszy od twarzy, a skończywszy na pięknych, arystokratycznych rękach, o których miał wielkie staranie. Ale te wszystkie rzeczy należały do powierzchowności; Janina w swojej naiwności nie mogła przypuścić by kobiecie mógł się podobać mężczyzna, który posiada wprawdzie piękne oczy, ale nie ma w nich duszy, tylko jakiś wyraz sceptyczny. Wyraz tych oczu tembardziej jej się nie podobał, że parę razy tego wieczora spotkała się

z nieokreślonym ich spojrzeniem ku niej skierowanym. Patrzył... o tak! leniwie, nieciekawie, może nie wiedząc o tem... a ona spuszczała oczy, i burzyła się w głębi duszy.

Miała zwyczaj zaraz po kolacyi iść do swego pokoiku na górę, gdzie samotnie spędzała resztę wieczora, ale dziś Kamilla ją zatrzymała, prosząc by z nią grała na cztery ręce i razem już obie poszły na górę.

Młoda hrabianka widocznie pragnęła pomówić dziś z Janiną, bo zaciągnęła ją do swego pokoju. Z początku była nieco jakby zakłopotaną, niewiedziała jak zacząć rozmowę, w końcu, zbierając się na odwagę, z rumieńcem na twarzy wyrzekła.

— No i cóż Janciu, czy teraz już podoba ci się mój kuzynek?

Janina wzruszyła lekko ramionami.

— Ani trochę więcej jak pierwszego dnia...

— To szczególnie! a jednak tyle za nim szaleje! — powtarzała zawsze swoje.

— Chciałabys żebyś i ja oszalała? — przyznam ci się że nie życzyłabym sobie...

— O i ja tembardziej! — pochwyciła szybko Kamilla; Janina się uśmiechnęła.

— Bądź spokojną! — rzekła, niema najmniejszej obawy... nie to miałam na myśli...

Nadto byłam... i jestem uprzedzoną do pana Romana by mi się mógł podobać.

— Ależ ty jesteś sroga! Czy jeszcze gniewasz się na mnie? — dodała ciszej, pokornie prawie.

— Czy się kiedy gniewałam? — odrzekła Janina rzewnie.

Kamilla widząc serdeczne usposobienie siostry, nabrała więcej odwagi, i otwarcie:

— Powiedz mi!... — zawołała, — jak ty uważasz? czym zrobiła dobre na nim wrażenie?

— Jak się postarasz... to może... się z tobą ożeni... — rzekła powolnym głosem Janina, pewna tego co podsłuchiwała mimowoli z rozmowy Romana z Kamillą.

Ta ostatnia oblała się łzami.

— Co ty mówisz! ja starać się o niego?...

— Tak mi to coś wygląda... — ze szczerością odrzekła, choć czuła, że szczerość ta źle może być przyjęta.

— Chcesz mnie upokorzyć... — szepnęła Kamilla gniewnie. — Wiem dlaczego to robisz... ale nie masz prawa! słyszysz? nie masz prawa do tego!

Krzyczała już rozgniewana, obrażona do żywego.

Janina patrzyła na nią smutnie, długo... i łzy jej w oczach stanęły. Załamała dłonie.

— Z twoich to ust słyszę podobne słowa? — szepnęła cicho, żeby płaczem nie wybuchnąć... — Nie! to niepodobna, żebyś się tak zmieniła!... on by cię nie poznał!

Kamilla już żałowała swoich słów niebacznych, ale duma jej tego wyznać nie dała.

— Czy... mianował cię swoim adwokatem? — rzekła tylko tonem, który chciał być niegrzecznym, ale był prawie nieśmiały; śmieszka Janina dziwny wpływ wywierała na tę dobrą w gruncie, ale słabą istotę.

— Niczym adwokatem nie chcę być ani mogę! — odparła, śmiało podnosząc głowę Janina. — Ty wiesz sama wybornie, czem jestem dla ciebie, czem dla niego... nadto was kocham oboje bym jaką presję wykonać chciała... nie powiem nawet, że ci mam za twoje obecne postępowanie... bo wolę twoją otwartość, niż gdybyś udawać miała... to czego nie czujesz. Ale proszę się, nie poruszajmy już nigdy więcej tej drażliwej kwestyi... nadto mnie to boli, i mogę czasem powiedzieć coś, co się tobie nie podoba... Wolę nie mieszać się w tę sprawę... Czyń co chcesz i jak uważasz... zapomnij, że ja kiedy byłam twoją powiernicą... i jego!

Kamilla milczała przez chwilę.

— Masz słuszość... — rzekła w końcu. — Najlepiej nie mówmy już o tem...

Było już bardzo późno, więc młoda panna rozbiierać się zaczęła pomału, trochę niezadowolona z siebie, i nieco upokorzona. Janina tymczasem

zamysliła się głęboko, z głową opartą na rękę, bardzo smutna. Nieśmiało zbliżyła się do niej Kamilla i dotknęła jej czoła ustami, a podczas gdy dobra Janina oddawała jej pocałunek z całą serdecznością:

— Idź już spać... ty niewinna opiekunko zakochanych! — wyrzekła Kamilla, pragnąc w żart obrócić całą rozmowę.

Spać? czyż ona mogła biedna?...

Kamilli przecież powiedzieć nie mogła wszystkiego co czuła, nie mogła jej powiedzieć, jakie wrażenie na niej ta rozmowa, wywarła lub skrzyć się na postępowanie lekceważące jakim ją tutaj darzono, bo czemże ona była? nie zasługiwała przecież na żadne względy... wszak była tylko ubogą sierotą z łaski wziętą...

Co tam kogo mogło obchodzić, że i ona miała serce, czucie a to serce miało swoje potrzeby, była wykształconą, i w niczem wychowaniem i zachowaniem nie ustępowała salonowej pannie jaką była Kamilla? Gdy się zebrało liczniejsze towarzystwo, a w ich gronie jaka nudna lub ograniczona osoba, dla której jednak należało niejakiem względy zachować, posłuszną skinieniu hrabiny, szła bawić gości. Gdy czasami potanńczyć chciało, a muzyki brakło, szła Janina do fortepianu i grała całemi godzinami... szła i robiła wszystko co jej kazano, ale cała uległość jej wywalczoną, sztuczną tylko była... Nie będąc zarozumiałą, Janina czuła wybornie, że jej się dzieje niesprawiedliwość, i jak każda prawa natura, wzdrygała się pod przymusem.

Ratowało ją tylko serdeczne przywiązanie do Kamilli, bez której, czuła, że by jej było trudno się obejść. Po owej rozmowie jednak, nie mogąc usnąć w nocy, dumiała Janina, że obecnie nic, nic wcale jej już nie wiąże do Żarnek... Kamilla straciła do niej serce, a Janina nie należała do tych co się narzucać lubią. Zresztą, irytowały ją te starania „o Romana...“ irytował ją sam ów pan Roman, z lodowatą swoją apatyczną twarzą, a co najgłówniej, najserdeczniej... smuciło ją wiarołomstwo Kamilli, które za grzech śmiertelny prawie uważała.

W tym celu zaraz z rana napisała do brata, proponując mu, że przyjedzie do niego, zajmie się gospodarstwem, i może wyszuka sobie jakich lekcji, które by mogły zapewnić jej utrzymanie. Dodawała, że już czuje się na siłach sama zapracować na siebie, i wstydzi się nadużywać niepotrzebnie łaski hrabiny.

O Kamilli nie wspomniała ani słowa.

Gdy zeszła do śniadania, dowiedziała się, że pana Romana nie było w pałacu, pojechał do Wasilec. Kamilla nie zadowolona przez dzień cały, dopiero odzyskała dobry humor, gdy nazajutrz około południa, zjawił się kuzynek z powrotem.

W parę dni dowiedziano się, że stary pan Bronimirski wraca na przyszlą wiosnę z zagranicy, a tymczasem Roman ma się zająć uporządkowaniem pałacu w Wasilcach.

W ten sposób panie Żarnowieckie zyskały w Romanie sąsiada i prawie stałego gościa, z czego obie zdawały się być bardzo zadowolone.

Niewiadomo jednak z jakiej przyczyny, Kamilla od jakiegoś czasu wzięła sobie za zadanie, utwierdzać Janinę w uprzedzeniu jakie od samego początku ta ostatnia powzięła dla Romana. Może obawiała się, że w razie bliższej znajomości, w razie gdyby Roman obudził zaufanie Janiny, ona by szkodzić mogła jej planom?...

Słowem, że starała się za każdą sposobnością dokuczyć Janinie Romanem, powtarzając jego niepoehlebne o niej zdania, nieraz w silniejszych wyrazach niż były wyrzeczone... Mówiła, że Roman śpiew jej wyśmiał jako nieuczony i nadto działający na nerwy... Raz znowu, doniosła jej, że Roman tak na nią mało uwagi zwraca, że zapytany przez Kamillę był w zupełnej nieświadomości czy Janina brunetka czy blondynka,

— Wiem tylko, że bardzo naiwna, mówił... — dodała.

Janina się oburzyła — nie na Romana! było jej

obojętnem jakie jest jego zdanie, ale na Kamillę, że to powtarzała.

— Czemu mi to rozpowiadasz? — wołała. — Czy sądzisz, że jestem zarozumiałą i że mi potrzeba tego upokorzenia? Jeżeli uważasz, że twój kuzyn dobrze robi, lekceważąc mnie, to wolno ci postępować tak samo, ale nie opowiadaj mi co on o mnie mówi! jego zdanie, jak wiesz, jest mi całkiem obojętne, ale boli mnie, że ty się tak bawisz...

— Nie może ci być obojętnem...

— Więc chyba chcesz, bym płakała z rozpaczy, że nie miała szczęścia podobać się panu Romanowi? nierozumiem o co ci właściwie chodzi!...

— Powiedziałaś... mnie to bawi, — odrzekła niedbale.

— Kamillko!... ha! muszę się z tem pogodzić, że ty już nie masz serca!

— Być może... musiał mi je ktoś zabrać...

Zaśmiała się długo, wesoło, zadowolona ze swego dowcipu.

Wszedł Roman w tej chwili na werandę gdzie się ta rozmowa toczyła i Janina instynktem wiedzioną, uciekła w ogród, uchodząc przed nim.

Wieczorem dnia tego przyjechał pan Juliusz, ów młodzieniec zakochany w Janinie. Przywitał hrabinę i Kamillę, i uzasadniając cel swego przybycia, przysiadł się zaraz do Janiny, która rumieńcem się oblała, czując na sobie spojrzenie Romana, drwiącego sobie pewnie z biednego Juliusza... a może i z niej.

— Biedny chłopiec! — mówiła tymczasem pół cicho hrabina Romanowi, — zakochał się w tej Janinie, *ma foi*, niewybredny...

— Sądzę, że dla niej to świetna partya, — odrzekł Roman.

— Pewnie, lecz z tego nic być nie może. Jego siostra, pani Adela, świetne dla brata roi plany... nawet o Kamille pomyśleć raczyła... *Il est presque idiot*... — dodała w zaufaniu.

Męka Janiny niedługo trwała, w jakiś czas po bracie zjawiła się pani Adela niespokojna o swój skarb, a z nią kilku z okolicznej młodzieży, między innymi pan Bolesław Miturski, stały adorator Kamilli, bardzo przystojny i miły człowieczek, najczęstszy gość pań Żarnowieckich.

Juliusz z rozpaczą malującą się na twarzy został odciągnięty od Janiny, która wolna już, i swobodna, poszła zająć się zastawą do przyjęcia niespodziewanych gości.

W chwili gdy wstawano od wieczerzy Roman znalazł się w gabinecie Janiny i nachylając się:

— Można pani powinszować? — zapytał cicho.

Podniosła żywo zadziwione oczy i spotkała ten nieokreślony wyraz szyderstwa, który tak znała.

— Czego? — zapytała już nieco zmieszana.

— Pana Juliusza... — szepnął i uśmiechnął się dziwnie.

Rumieniec ją oblał, ale podniosła dumnie głowę i z góry spojrzała na niego.

— Zawczasem się pan trudzi... — rzekła bardzo zimno.

Odeszła, odeszła do siebie i tam w samotnej ciszy gorzko zapłakała.

Czyż tak już nie warta nie była, że uznawano biednego idyotę za świetną dla niej partyę? Janina nie słyszała zdania hrabiny, ale pewną była, że ona tę myśl piastuje. Chęć się jej pozbyć z domu za jakąkolwiek bądź cenę... ale to zbyt ciężko na życie, jak korzystać z czyjej łaski i wdzięczność okazywać tym, co ją upokarzają.

Przez kilka dni następnych unikała Romana, bojąc się z jego strony przytyków, na które odpowiadać nie mogła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ziarnko gorczycy...

W numerze 1. „Głosu“, z r. b. napisał p. Jan Weznaki — krótki, węzłowaty ale dokumentny artykuł, rzucając gorzkie ziarnko prawdy na szeroką glebę pracy kobiecej. Prawda jest jak złoto, warto się po nią schylić, czy w bogatej, świetnej, objawia się żyło, czy w jakiej grubszej rudzie, czy drobne jej cząstki wypłukiwać przychodzi z fali lotnego piasku. Dlatego też zachęcam czytelniczki naszego pisma do uważnego przejrzenia artykułiku: „Na widowni“, i do rozważenia wypowiedzianej tamże reprimendy, nie zrażając się formą może nieco szorstką, w jaką podobało się autorowi przyodzierać swe myśli.

Kto mówi wręcz prawdę, jest — przyjacielem; a że pan J. Weznaki sam się przyznaje do „sympatyidła — tak zwanej — sprawy niewieściej“, zatem ufajmy mu, że tylko z szczerą i dobrej chęci, w celu chwalebny dania dobrej rady i w dosadnym przedstawieniu rzeczy, porównał nas — kobiety, dążące do samodzielnej, wszechstronnej pracy, do owych „Robakożerców z powieści Rosny ego, istot upośledzonych, uwsteczniionych, żywiących się korzonkami, i robakami, i mogących się przeto żywić tam, gdzie jużby człowiek normalny doznawał głodu.“ A dalej — porównał nas jeszcze do „chińskiego mrowia“, „biernych naśladowczyń“, nawet do „myszy“, objadających mężczyznę w jego własnej „szpiżarni!“ A jednak, p. Weznaki ma w gruncie rację, o ile dotyczy założenia całego artykułu, to jest pracy kobiet — w drukarniach jako czerarki, i tego nieopatrzności, na oślep, rzucania się do każdej pracy, do każdego zarobku jaki już z trudem, z móżdżem zdobył i unormował sobie mężczyzna. Co do pracy w drukarniach, w zecerstwie, to istotnie, nawet dla sił męskich robota to ciężka, w warunkach bardzo niehygienicznych, zabijająca wzrok, wpływająca z czasem szkodliwie na cały organizm; a kobieta, jest że w stanie, godzinami całymi stać tak na nogach, przenosić ciężkie t. zw. kolumny pisma, nabawiać się drżenia rąk utrudniającego domowe zajęcia i szycie, i sprowadzać na zdrowie inne złe skutki pracy za forsownej, którejby i tak z czasem zaprzestać musiała. Po cóż zatem odzywają się głosy tu i tam, zachęcające kobiety do rzucania się i do tej gałęzi zarobku, do pchania się i na tę ścieżkę, kędy i tak ciasno, i trudno, i ciężko?

Wygląda to istotnie, wedle słów autora, „na tłumne, naśladowcze rzucanie się na posterunki „już wywalcone.“ Zdaje się — mówi p. W. — „jakgdyby chodziło tu tylko o to aby paniąka „mogła wykonywać jakieś ruchy młotkiem, dłu-tem, pilnikiem, ruchy wykonywane dotąd tylko przez kawalera — bez względu na to, że sobie i jemu zaszkodzi! Tyle jest zawodów do-stępnych, a nietkniętych! Cały obszar, cały „bezmiar pewnych gałęzi przemysłu drobnego, „nie tysiące, ale dziesiątki tysięcy miejsc in-struktoerek, przodowniczek, mogłyby się otwo-ryć przed zastępem kobiet nie tylko spragnio-nych pracy, ale i samodzielnych, nie biernych „naśladowczyń.“ Widzimy z tego, że autor nie kładzie się kamieniem na drodze ruchu postępowego niewiasty w ogólnym dorobku ekono-micznym, lecz dojadła mu do żywego niekon-sekwentna ruchawka, obniżająca wspólny dobro-byt społeczny, zniżająca cenę pracy, a wyczer-pywać mogącą siły dobre i jedyne do czegoś stosownego. „Niech nam znośzą do wspólnej „komory to, czego mężczyzna za pracą nie może „ani dojrzeć, ani zebrać — żąda p. W. od kobiet — „w celu uniknięcia walki bratobójczej, uniemoż-żliwiającej zwycięstwo.“ Wobec tych zdro-wych i bardzo praktycznych poglądów, możemy, zdaje się, wybaczyć autorowi społecznej na nas bury, i owych „Robakożerców“ i owe „my-szy“, a wziąć pod pilną uwagę, aby w rozwoju naszej działalności zarobkowej, w uniesieniu

czego zapalu, nie czynić szkody mrówczej pra-cy drugiej połowy ludzkości. Czytelniczki ze-chcą sobie przypomnieć, cośmy w „Bluszczu“ powiedzieli z powodu powstania we Lwowie „Kursów akademickich dla kobiet“, witając je z gorącym uznaniem, ale przestrzegając przed tem tłumem, gromadnym ciśnięciem się do podwoi wyższej wiedzy, bez zbadania czy siły nasze umysłowe i fizyczne poddają trudnemu zadaniu.

To co się rzekło wtedy — powtarzamy i dziś: — nie wszystko dla wszystkich! Kiedy wszyscy będą robić — wszystko — to wszystko będzie zro-bione — źle, i wszystkim będzie — źle.

Przed kilku laty miałam charakterystyczne zdarzenie. Chcąc dostać się do domowego ogro-du otoczonego rzeczką, chciałam przerzucić kładkę z dużej deski leżącej na łące. Zaciągnęłam deskę już nad strumień, namęczywszy się nie-mało, i biedziłam się dalej z umocowaniem jej na dwóch brzegach, aby przejść bezpiecznie. Cóż, kiedy brakło mi siły, aby ciężką deskę tak zręcznie równoważyć w powietrzu, aby mi się ciągle przeciwnym końcem do wody nie zsuwała, za-nim ją oprzeć zdołam. Myślałam, że zarzuci-ciwszy kładkę, drogę sobie skrócę, tymczasem czas mijał daremnie i ręce mi opadły z wysile-nia. Nadszedł na to stary, barczysty, poczciwy lecz bardzo opryskliwy mularz, który od nie-dawna pracował koło spalonej oranżeryi. Wziął się w boki i śmiać się zaczął ze mnie.

— O to dopiero mądra! — Drwił — taka nijaka dziewczynina, a porywa się na nieswoją robotę! Gdzie rozum, gdzie? Nielepiej było obejść go-ścińcem do ogrodu kawałek dalej, niż wyrabiać takie głupstwa! Próżne umęczenie, to nie dla panny robota!

— No, to mi pomóżcie, zamiast się gniewać.

— Aha! to też to — właśnie! najpierw się pory-wać na nie swoją rzecz, a potem pisać — oj, oj, pomóżcie! wstyd, tak oleju w głowie nie mieć!

Jednym gniewnym ruchem, umiejętnym i po-tecznym, przerzucił deskę od brzegu do brzegu, wrył w grunt, odstąpił krokiem i z drwiącym śmiechem spytał:

— No, teraz może pomódz przeleźć, he?

Przebiegłam sama przez kładkę z nieznośnem uczuciem upokorzenia, a gdy i mularz przeszedł, podziękowawszy mu za usługę, chciałam odejść.

— Ale! — rzekł gniewnie — i to też rozum, tak sobie wleźć do ogrodu, i deskę za sobą zostawić, żeby byle komu drogę pokazać na czyj grunt!

Miał słuszość, więc zostałam i jęłam się po-dważania kładki, aby ją na tę znów stronę prze-ciągnąć. Mularz kiwał głową.

— No, no! z tej strony rzeki, to jeszcze mniej rozumu niż z tamtej było! Adyć jak tam było trudno, to tu jeszcze gorzej, bo deska już ugrzę-zła w glinie! Teraz panna ogrodnika szukać będzie żeby pomagał! co to czasu i krętaniny wlaźło w jedno głupstwo!

Tak gderając deskę wyciągnął na brzeg i śmiał się za mną, gdy chmurna biegłam prę-dko naprzód do oranżeryi, gdzie miałam poma-gać siostrze w przesadzaniu kalafiorów w grunt inspektowy. Zastałam ją już przy robocie, przy-siadłam obok na grzędzie i pracowałyśmy prę-dko, bo po deszczu ciepłym, wiosennym, wielka była pora na przesadzenie malutkich roślinek, które wyrosły w łupinkach od jaj na jaki cal do dwóch, wysokości, już potrzebowały głębszej i szerszej przestrzeni. Różne myśli snuły mi się po głowie, wszystkie niezbyt przyjemne. Zdawało mi się, że w różnych czasach, epokach, okolicznościach mego życia, zdarzało mi się już nieraz tracić siły i czas na przerzucanie takich kładek z brzegu do brzegu, aby to niby było coś prędzej i lepiej, a jednak, na tym drugim brzegu danego wypadku, podobność spostrzega-łam się, że „oleju było brak.“ Gniewała mnie dosadność tego mularza i jego śmiech drwiący a — słuszny! Aż tu naraz, usłyszałam znów jego głos tuż nad nami.

— Ot, tak, to porządnie! jak się patrzy! tu ja-był już nie pomógł! oj nie! taka fajna dłu-banina palcami, to akurat babska robota! Że też to się nie podrze w rękach taka maciupka roślina! No,

żeby mnieby tam dopłacali pół robocizny, tobym się nie podjął takiej fatygi wyciągania z jajka listka kalafioru i stawiania go na nogi w grun-cie; do licha! to nie dla mnie! — I śmiał się na cały głos.

— Tak, tak, niech każdy robi swoje, to grunt. — Na odchodem zaś dodał: — Pani sama dawno tu siedzi i pracuje, bo po drodze desek nie przecią-gała, raz i drugi... — To była nauczka na mój ra-chunek. Skorzystałam nie mało. Tak: niech każdy robi swoje, to grunt.

Zdaje mi się, że szanowny autor artykułu: „Na widowni“ nie nam więcej nad to nie chciał powiedzieć, a że swe zapatrywania wygłosił nie-co gniewnie i szorstko, to trudno, niejedyn owoc zdrowy w gorzkiej kryje się łupince. Co do mego wrażenia osobistego, zostanie ono dodatnie; trudniej mi jedynie do naszej sprawy zastoso-wać miana i „tak zwanej“ sprawy niewieściej, bo nie jest ona tylko jakąś „tak zwaną“ kwestyą, lecz jest nią w pełni i potrzeb społecznych i ważno-sci swych już widocznych, a pożytecznych zja-wisk; jak też musielibyśmy ogromnie dokładnie i sumiennie ruch działalności kobiecej zbadać, zanim by istotnie twierdzić wolno, że: „znaczna, „bardzo znaczna część tego ruchu przedstawia się „jako pochod Robakożerców.“ Może, to zresztą jedynie zwrot stylowy zpod gorącego wystrze-lony pióra, który ze względu na pożyteczne ziar-no gorczycy jakim nas p. Weznaki obdarzył wybaczyć można, jak owe dosadne socyalne przy-mówki poczciwego mularza sypane na głowę „nijakiej dziewczyniny“ za mniemany brak ro-zumowego oleju. Ponieważ jednak jasne słowo prostaka i rozumny artykuł zdolnego literata schodzą się zupełnie w swej zasadniczej treści, trzymajmy się jedynie stałego jej gruntu:

— Niech każdy czyni — swoje!

Szczesna.

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Intruz, Maurycego Maeterlincka. — Miłostka, Artura Schnitzlera.

(Dokończenie).

W tydzień później, innych dozwaliśmy wra-żeń, słuchając w teatrze Rozmaitości sztuki Ar-tura Schnitzlera, p. t. „Miłostka“, której twórca należy do najmłodszych autorów dramatycznych w Niemczech, autorów, co za jednym razem zdobyli sławę i powodzenie. Schnitzler — jeżeli wierzyć reporterom — pochodzi z Galicyi; ale jest wiedeńczykiem, przesiąkniętym na wskroś pier-wiastkami życia, jakie wre nad modrym Duna-najem; kojarzą się w nim harmonijnie: wesołość, dowcip, sentymentalizm, humor i melancholja, — a wszystko nabiera pod jego piórem świetnego kolorytu i werwy.

Talent to przedziwnie świeży, wrażliwy i og-nisty; usposobienie pisarza pełne rozmarzenia i namiętności zarazem. Hauptmann jest od Schnitzlera głębszy i posiada umysł bardziej metafizyczny, ale ten ostatni konkretnością treści i wyborną plastyką prawdy wywiera sympatycz-niejsze, więcej ludzkie wrażenie.

Patrzy on w życie i umie obserwować jego zjawiska, trafnie chwytając na gorącym uczynku fakty życia i odtwarzając je z serdecznem technieniem liryizmu. Na sztuce Schnitzlera wi-dzowi się zdaje, iż słyszy plusk fal Dunaju, dźwięki tęskne walca oraz szepty zakochanych, bo Wiedeń ma tradycję romantyczną i tyle wspomnień miłosnych, iż się z nich układają le-gendy. W opowieściach tych płacze się łatwo wybuch śmiechu z cichym łkaniem, albo jękiem bolesnym... Słychać w tych echach całą gamę uczuć, szarpających serce lub kołyszących je do upojenia: nic dziwnego, gdyż jednym akompa-niują rozmarzające tony Straussa, drugim — przy-grywa smutnie marsz pogrzebowy.

Rozbierając utwór Schnitzlera, p. Kazimierz Zalewski bardzo słusznie przypomina hr. Tołstoja, który w „Sonacie Kreutzera” każe narzucić hamulec i wypowiedzieć walkę namiętności. Ale autor „Miłostki” nie zważa na filozofię w tej mierze, tylko daje folę uczuciu i wprowadza w akcję bohaterów swoich kochających i kochanych. „Hr. Tołstoj, mistyk i pesymista, dochodzi w swoich wywodach do krańcowych konsekwencji; wszystko jednak, co mówi o deprawacji mężezyzn legalizowanej przez prawo, o obłudnej moralności, jest i bardzo słuszne i bardzo sprawiedliwe”; Schnitzler idzie za głosem własnego natchnienia i pisze dramat bardzo piękny, choć i bardzo smutny.

Dwóch młodych ludzi, Jan i Teodor, biorą życie z płytkiej strony, miłość traktują lekko-myślnie—i doznają bolesnego rozczarowania. Jan swoją lekkomyślność przypłacił życiem, ginąc z ręki zdradzonego męża; Teodor czuje wyrzut sumienia w głębi, że biorąc udział w życiu przyjaciela, przyczynił się również do jego tragicznego końca.

Dwie dziewczyny, Krystyna i Marya, dają przykład odstraszący dla tych, co cnotę uważają za zbytek niepotrzebny i na rozstajnych drogach żywota ją tracą. Krystyna ma przynajmniej na usprawiedliwienie własne miłość gorącą względem Jana i, gdyby oprócz tego posiadała szacunek względem siebie, niezawodnie uniknęłaby niedoli. Jan byłby to dziewczę z przedmieścia, piękne i dobre w gruncie, pokochał szczerze, byłby ocenił jej niewinność i niezawodnie połączył się z nią węzłami dożgonnej przysięgi, sam ratując przytem siebie. Ale wiłcher szalu, nie hamowanego religią, uniósł duszę dziewczęcia na bezdroże i tam ją zatracił. Krystyna, wychowana bez matki, przez ojca starego, poszła za pierwszym porywem serca, a że jej nikt nie podał ręki, nikt nie nachylił się ku niej i nie szepnął porady—dziewczę, które w innych warunkach byłoby żoną dobrą i matką—zginęło bezpowrotnie.

Szkoda, iż Jana z Krystyną łączyła nie miłość, tylko miłostka.

Marya jest już od początku zepsuta, nawskroś dziewczyną, a Teodor uzupełnia ją pod tym względem.

„Dobrze rozejrzawszy się w tej sferze—mówi pięknie p. Bogusławski—widzimy, że jesteśmy właściwie poza węzłami społecznymi. Ludzie kochają się wesoło, smutnie, dramatycznie, ba! tragicznie, ale miłość ich jest, nawet w najgrubszych swoich formach czemś prawie abstrakcyjnym, istniejącem dla siebie i oderwanem od wszelkich nietemperamentowych celów, zadań i dążeń. Nie wywyższa jej, ani pogłębia nie; nie jej też nie daje trwałej w życiu podstawy. Dziś jest, jutro może jej nie być; że tam przytem ktoś zmarnieje, zginie, że czyjeś serce pęknie, czyjaś głowa się obłąka,—o to mniejsza, bo nie o to troszczy się autor, tylko mu idzie o przedstawienie, jak się to stało. A w tem doszedł już dziś, mimo młode lata, do wirtuozostwa. Doskonały obserwator i wyborny rzeźbiarz plastycznych szczegółów w opowiadaniu, pełen talentu w charakterystyce i siły dramatycznej na scenie, jest dziś Schnitzler poetą tej falującej, zmiennej dziedziny uczuć, które wahają się między miłością i miłostką; poetą, który posiadał tajemni-

cę wszystkich odcieni i, stopniując je, umie niekiedy poza codziennymi motywami odtworzyć idealniejsze widnokreśli”.

Sztuka, jakkolwiek wyborna pod każdym względem, dotyka spraw i objawów życia, którym oko niewinne przyglądać się nie powinno; dla tego czujemy się w obowiązku nadmienić, że „Miłostka” Schnitzlera dla pańienek się nie kwalifikuje—iną nią matki swych córek z pewnością nie wprowadzą.

Sztukę powyższą grano na naszej scenie bardzo dobrze. P. Trapszo-Chodowiecka stworzyła postać Krystyny, pełną rzeczywistego sentymentu. P. Czakówna wlała w rolę Maryi dużo werwy i zacięcia. Wybornie zaś grali: pp. Wolski, Nowicki, Rapacki oraz p. Leszczyński, który jedną jedyną swą scenę odtworzył przepysznie. Nader dobrze wywiązała się z swego zadania p. Mirecka.

A. Dobrowolski.

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Mimo to wszystko, jeśli się zatka nos, można się w tem życiu wschodniem dopatrzeć i stron pięknych, malowniczych. Ten pstry tłum w białych i granatowych burnusach, w kolorowych zawojach lub czerwonych fezach, rojący się w słońcu, pod błękitnym niebem, na tle białych domów o okratowanych wystających oknach, na tle tych różnych ozdób w stylu maurytańskim, wygląda bardzo egzotycznie, a malarz-kolorysta mógłby się zapalić do podobnego obrazu. A już co jest pięknem stanowczo, to sklepy wschodnie, ciągnące się po obu stronach ulicy, a charakterystyczne przez to, iż wystawa nie znajduje się za szybą, jak w miastach europejskich, ale jest rozłożona na ulicy, przed sklepem, na rogożach lub słomiankach. Tu widzisz różne materye, dywany, jedwabie; tam leżą stosy białych i granatowych burnusów; tutaj widzisz całe stosy broni, pistoletów, fuzji, szabel, krzywych nożów, bardzo oryginalnie sąsiadujących ze stosami pomarańcz i różnych owoców i jarzyn, których się nie widuje na naszych targach; nieco dalej widzisz różne cukry i konfitury, przyrządzone na sposób wschodni; a wszystko to, jak by powiedział mój przyjaciel Włodzio Tetmajer, jest *kapitał w kolorze*, a najkapitałniejszymi są ci kupcy, z których każdy pilnuje swego bazaru, siedząc we drzwiach, z nogami podwiniętymi pod siebie, paląc fajkę lub t. z. *nargille*. A co za przepyszne typy napotyka się wśród tych kramarzy! Nie zapomnę jednego zwłaszcza, z prześliczną siwą brodą, w ogromnym zawoju. Żałowałem, że nie miał aparatu fotograficznego, ażeby na pamiątkę schwycić ten typ! Co za typ! Wyobrażam sobie, że tak musieliby wyglądać niektórzy bohaterowie Starego Testamentu, np. Abraham. Co także uderza w tych kupcach, to spokój, z jakim siedzą przy

swoich kramach, niewzruszeni tym rozgardyaszem i hałasem ulicznym, jaki panuje na trzy kroki przed nimi. Jako kontrast, jest to zjawisko cudowne w swoim rodzaju.

Bardzo ciekawe także są tutejsze kawiarnie, których mijał miły mnóstwo. Są to stragany; przy niewielkim piecyku żelaznym siedzi arab, gotujący kawę z fusami. Nie widziałem takiego straganu, ażeby przy nim nie stało paru Arabów, z małenkiemi, bardzo brudnemi filiżaneczkami w rękę, które co chwila podnosili do ust. Kawa taka, choć podawana nie bardzo apetycznie t. j. bardzo nieapetycznie, ma być doskonałą w smaku, a nasz przewodnik—z którym co chwila zamieniałem kilku słów polskich—radził nam, ażebyśmy spróbowali tej kawy. Jakoż zatrzymaliśmy się przed jednym z takich straganów, który się nam wydał nieco schludniejszym od innych, i zażądaliśmy—przez usta naszego przewodnika—sześć filiżanek tego orzeźwiającego narkotyku. Sposób jednak, w jaki Arab przyrządzał kawę, a zwłaszcza jego brudne ręce, które mi sypały kawę do niewielkich mosiężnych garnuszków, zaczął nam powoli odbierać apetyt. Cóż dopiero, kiedyśmy ujrzeli rodzaj ręcznika, którym zaczął wycierać filiżanki, ręcznika, brudniejszego jeszcze, aniżeli woda, a raczej pomyje, w których przedtem płukał te filiżanki! Skonczyło się na tem, iż tylko nasz Francuz, podobny do Aleksandra Dumasa syna, i ojciec naszych Angielek, potrafili wypić swoje porcje. Nasze wypili nam guide, my zaś, t. j. panie i ja, poprzestaliśmy na zapewnieniach, że kawa była doskonała, przewyborna.

Stragan, przy którym piliśmy tę kawę, znajdował się na schodach meczetu. Nad schodami, widniały duże drzwi, okolone mozaikowymi arabeskami. Drzwi były zamknięte. Chcieliśmy zwiedzić tę *mosz*, której wysmukły minaret widzieliśmy już zdaleka, ale okazało się, iż nie wszystko, na co się ma ochotę, da się urzeczywistnić. Tej *mosz* także nie mogliśmy obejrzeć. Nie wolno do niej wchodzić—*giourom*.

Nie mogąc zwiedzić meczetu, zwiedziliśmy więzienie i szkołę. Do pierwszego zajrzeliśmy tylko przez niewielkie okratowane okienko, przez które ujrzeliśmy dużą izbę, strasznie brudną, o glinianem klepisku, na którym leżało kilku więźniów-Arabów, zakutych w kajdany; zaduch jednak, który wychodził z wnętrza, był tak okropny, że nikt z nas długo nie patrzył przez to okienko. Za to dłużej przypatrywaliśmy się szkole, której lekcye odbywały się na świeżem powietrzu. Pod ścianą jednego z domów, w cień, siedział stary Arab, otoczony może 30-tu wyrostkami, którzy za nim powtarzali chórem wszystko, co im czytał z książki. Był to arcyzabawny widok, nad którym uśmieśliśmy się nie mało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się: arkusz 7 powieści p. t. *Siostry*. Przełożyła Z. S.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Eliza Orzeszkowa, przez J. Nitowskiego (z portretem). — Pogawędka, przez ?? — W kwestyi równouprawnienia kobiet. — Przegląd dramatyczny, przez A. Dobrowolskiego (dokończenie). — Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg). — Dodatek obejmuje: *Siostry*, powieść. Przełożyła Z. S., arkusz 7. — Przegląd mód. 30 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow-Przedmieście Nr. 66.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 8 Января 1897 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.